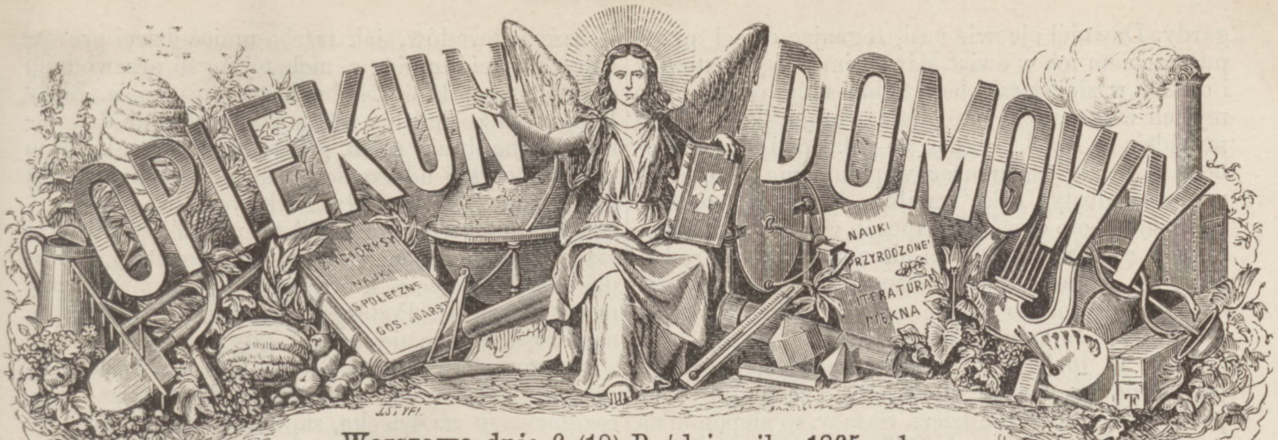
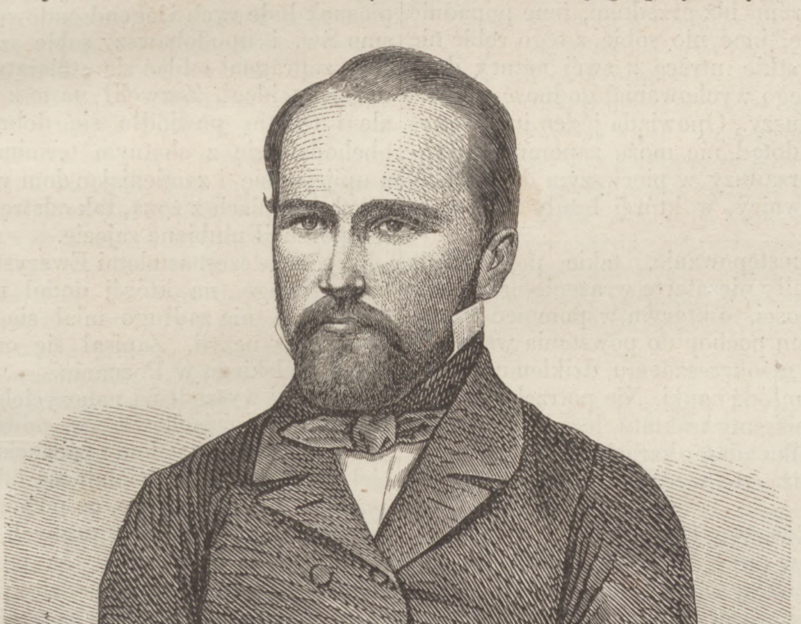


Warszawa dnia 6 (18) Października 1865 roku.

Nr 42. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

EWARYST ESTKOWSKI.

Szlachetne godło! imię człowieka, którego życie całe od pierwszego dnia myślenia poświęconém zostało jednéj wybitnéj idei, człowieczeńskiemu wychowaniu młodzi. Owładnięty, uświęcony tą myślą szedł za nią Estkowski, jak Magowie za gwiazdą Betleemu, jak żołnierz za sztandarem.



Ewaryst Estkowski.—(Wycięto w drzeworytni Tygodnika Illustrowanego).

„Różczką Duch Śty dziateczki bić radzi." Nieszczęsne to wyrażenie, powtarzane dotąd w elementarzach i w masie naszego społeczeństwa, może posłużyć za definicję, przyjmowaną w wychowaniu młodzieży. Prawda, że prawiono piękne nauki, że uczono zdań moralnych, że wskazywano poprawę, ale i dotąd jako najskuteczniejszy środek uważaną jest rózga. Gdyby nie brak miejsca, moglibyśmy wiele przytoczyć przykładów, że nigdy srogość nie wpoiła moralności, że nigdy tego do czego nie przygotują sposoby szlachetne, nie zapewnia uderzenia, kara cielesna i inne tym podobne środki.

Malec nieposłuszny, „w skórę go;" nie uczy się, „oćwiczyć;" ślizga się lub gra w piłkę, „osmagać;" krnąbrny, „przyłożyć mu plastra Węgierskiego," wołają rodzice, nauczyciele. Lecz czy zastanawiają się, ile to pomoże, ile jest szłuszne, ile na to wpływa: zły przykład, postępowanie starszych, usposobienie dziecka, jego przymioty, wady? Nikogo Bóg nie stworzył jednakowo, własności ducha i ciała są różne. Tymczasem zwolennicy powyższych środków, karcąc tak dzieci, podciągają pod równię grubéj swéj natury nieskończone objawy ludzkich usposobień. Nie chce się, albo niepodobna im myśleć, więc batem! Każdy to potrafi: tłumić zdolnym jest każdy, kto ma pięść i siłę, rozwijać i hodować może tylko człowiek rozsądny i dobry. Któż to ośmiela się przyznawać Duchowi Św., że on jest postrachem dziatek; gołąbka natchnienia przedstawiać w postaci elementarnego batoga? Jest to wandalizm, jest to anachroniczne usiłowanie skarłowacenia ludzkich przymiotów. Jest to występek estetyczny. To co powiedziane było niegdyś *żartobliwie*, nie powinno być branem w wychowaniu na serjo dzisiaj. Wielkim jest nieśmiertelny bajkopisarz, ale nie w tem wyrażeniu. Sposoby, które kiedyś uważane być mogły za najlepsze, dziś mogą być godnemi po-

gardy. Dawniéj ojcowie nasi, żegnając dzieci przed puszczeniem ich w świat, dawali im porcję batogów i dukata w złocie, tak, bez żadnéj złéj myśli, bo nie myśleli w tym razie, ale dla zwyczaju: komuż dziś przyjdzie na myśl, żegnać się z dziećmi tym sposobem, kto zechce wrażać wspomnienie o sobie za pomocą chłosty? Nikt, śmiało odpowiedzić można. Cóż więc?—oto dowód, że sposób wychowania zmienił się, a mimo to dzieci nie mniéj kochają rodziców. To co mogło być znośnem kiedyś, dziś upada. Dla czego? bo ludzie nabyli więcéj doświadczenia, stali się rozumniejszemi.

Lecz w łonie społeczeństwa naszego, pozostały jeszcze pewne massy, które sądzą, że spełniły swą powinność chłoszcząc dzieci. Są tacy, co niepomni na przyszłość, trzymają w jednéj ręce rózgę a w drugiéj cukierek. Jaś będzie grzeczny, dostanie cukierek: Jaś będzie dokazywał, dostanie w skórę. Oto sposób dotąd najczęściéj używany. Dziecko więc przyzwyczaja się widzieć w rózdze ostatniego swego sędziego, bo ojciec tylko *mówi*, a rózga *bije*. Nie mamy tu na myśli bynajmniéj powstawać przeciwko rodzicom; wspominamy o tém dla tego tylko, aby przywieść na pamięć zły wpływ, jaki podobne postępowanie wywiera na przyszłość dziecka. Żadne z nich, jak mówiliśmy, nie ma jednakowych własności. Jedno obite, będzie się uśmiechać, inne będzie jeszcze zuchwalszém niż przedtém, inne popadnie w okropną trwogę, inne nic sobie z tego robić nie będzie. Ale wszystkie utracą z swéj natury delikatność szlachetnego wychowania, godność, subtelność, harmonję duszy. Opowiada jeden już w wieku człowiek, że dotąd nie może zapomnieć trwogi, jaką uczuł zajrzawszy w pierwszym dniu szkolnych nauk do piwnicy, w któréj leżały całe stosy rózg.

Otóż takie postępowanie, takie pojmowanie kształcenia, uczyniły niezatarte wrażenie na umyśle wielkiéj szlachetności, o którym wspomnieć zamierzamy; to dało mu pochop do powstania wszelkiemi siłami przeciw nieokrzesanemu, dzikiemu częstokroć, wpajaniu w młódź nauki. Nie potrzebujemy tu dodawać: że nie piszemy traktatu, lecz krótki tylko życiorys, i że te kilka zdań o karach, o tyle mają znaczenie, o ile posłużą do wydatnienia czynu Estkowskiego.

Urodził się Ewaryst Estkowski w r. 1820 w wsi Drzązgowie w powiecie Sredzkim W. Ks. Poznańskiego. Znalazłszy się w szkółce elementarnéj wiejskiéj, trafił nieszczęściem na jednego z owych srogich nauczycieli, których i dzisiaj nie brakuje, a wtedy było daleko więcéj! Tu też zaczęły się dla niego owe tortury, które całe życie pamiętał. Kary wywarły na jego naturę szlachetną, widać od dzieciństwa, skutek wprost przeciwny oczekiwaniom, to jest uczyniły z żywego i pojętnego chłopca automat, któremu życie ukazywało się tylko w jednéj postaci, strachu. Zdarza się to czasem, że dzieci czują równie silnie, jak ludzie dojrzali. Gdy wreszcie po trzech latach takiéj nauki, musieli go odebrać rodzice i matka przytuliła do serca; nieszczęśliwe dziecię powoli zaczęło się pozbywać obłąkania, w które było popadło; odżyło w domu rodzicielskim. Lecz po przeniesieniu się ojca do Powidza i po powtórném oddaniu go do szkoły, znowu nieskończone kary, ciągła chłosta i urąganie. Zdawało się, że Ewaryst stworzony był na pośmiewisko wszystkich, i że nic z niego być nie może. Jeden to jeszcze z dowodów, jak trzeba umieć dzieci prowadzić, aby nie zabić w nich téj myśli przewodniéj w ich życiu, którą Niebo każdemu udziela. Mały Estkowski kochał już wtedy jakieś słodkie dziecinne łagodne obrazy życia, gdy tymczasem na każdym kroku spotykał uderzenie lub straszliwy dla dziecka gniew nauczyciela; mały Estkowski był już wtedy w miniaturze tém, czém stał się później, a o ile stał się pożytecznym, energicznym i pracowitym, dowodzi całe jego życie, które morderczéj, nieustannéj pracy poświęcił. Podczas owych dni szkolnych za najszczęśliwszego się uważał, gdy mógł odczytywać sobie powieści z Pisma Św., w których bezwładną czerpał pociechę. Wreszcie doszło do tego, że ojciec rozgniewany na dziecko, zapowiedział mu, aby się w domu niepokazywał, a nauczyciel wypędził go ze szkoły. Ten krok ostateczny, oblał przygnębioną wyobraźnię Estkowskiego pewnym strumieniem światła. Dziecię znalazłszy się samo na świecie, wypędzone przez ojca, poznało, przeczuło, iż musi być na coś potrzebną nauka. Stał się najpilniejszym uczniem w szkole. Gdy następnie ojciec jego w inne znowu przeszedł miejsce, a szkoły nie było, chłopczyk do dwunastego roku życia znowu był w domu, i wtedy właśnie najsilniéj rozwinęło się w nim uczucie miłości rodzinnéj i téj nadobnéj swojskości, która jak aureola rozjaśniła swój powab nad jego życiem. Ucząc się piosnek ludowych i legend cudownych, czytając Pismo Św. i upodobawszy sobie szczególniéj Józefa Św., zapragnął oddać się stolarstwu, podobnie jak ten jego ideał. Zezwolił na to z trudnością ojciec, ale i tu nie powiodło się dobrze. Pan majster obchodził się z chętnym terminatorem brutalsko, a upijając się i zamieniając dom w piekło przy ciągłych kłótniach z żoną, tak odstręczył ochotnika, że ten porzucił ulubione zajęcie.

Wreszcie szesnastoletni Ewaryst w r. 1836 wszedł na tę drogę, na któréj dotąd najwięcéj cierpień odebrał, i nie zadługo miał się stać kolegą tych, którzy go uczyli. Zapisał się on do seminarjum nauczycielskiego w Poznaniu.

Ztamtąd wyszedł na nauczyciela szkoły elementarnéj w Wojciechowie w powiecie Szremskim. Wierny swoim zasadom i poczuciom młody nauczyciel, zaczął swoją działalność od zupełnéj zmiany systemu nauczania, a to, co późniéj w dziełach swoich i artykułach pedagogicznych wyraził i co znalazło uznanie powszechne, na posadzie nauczycielskiéj postawiło go w niezgodzie z przełożonemi, którzy wreszcie skończyli te zatargi zdegradowaniem go na młodszego nauczyciela w miasteczku Mitelstat. Podczas półtorarocznego tam pobytu, daléj prowadził swój systemat, a o ile ten był dobrym, dowodzi miłość rodziców i dzieci, którą pozyskał. Ale dla duszy tak wrażliwéj i silnéj za małe to było pole do działania, nie dla tego, aby powołanie nauczycielskie lekceważył, ale dla tego, że czuł się powołanym do szerzenia najrozciąglejszych wpływów, i że zastosowanie jego myśli w jednéj szkółce, nie przyniosłoby korzyści ogółowi. Z ukrytą więc myślą późniejszych działań, porzucił nagle stan nauczycielski i wstąpił do uniwersytetu we Wrocławiu.

Uczęszczając na fakultet filozoficzny i pochłaniając naukę swoim wrażliwym a szlachetnym umysłem, nie miał jednak środków ukończenia wszystkich kursów i był bez utrzymania; tyle jednakże czuł godność własną, że po kilka tygodni nic prócz chleba i wody nie jadł, a od nikogo nic nie przyj-

mował. Ta chęć nauki, ta moc duszy i ta energja pomimo nędzy, zjednały mu piękny między kolegami przydomek. Ale i to nic nie pomogło, musiał porzucić uniwersytet i w r. 1848 zajął posadę przy seminarjum nauczycielskiem w Poznaniu, chociaż i na niéj pozostał nie długo.

Od roku 1849 zaczyna się właśnie ów perjod działalności, do któréj dążył wszelkiemi siłami. W tymże roku zawiązał towarzystwo pedagogiczne i zaczął redagować pismo pedagogiczne, a późniéj wraz z niem Szkółkę dla dzieci, zasilając jedno i drugie swemi artykułami. Przejęty cały ideą uszlachetnienia nauczycieli wiejskich, wychowujących początkowo największe massy ludności, i to nieoświeconéj, wynajdywał i zużytkowywał wszystko, cokolwiek posłużyć mogło ku temu uszlachetnieniu. Przemawiając do nich samych i do obywatelstwa, do wszystkich stanów, aby ich lepiéj ceniono, zalecając im godne przedstawienie w gminie najużyteczniejszéj i najważniejszéj osoby, bo za taką nauczyciela uważał, śmiało karcąc błędy i gburostwo, jeżeli je gdzie znajdował, a podnosząc to, co poczciwe i godne pochwały; używając swych wpływów i starań o polepszenie ich losu i utrzymania, nie zapominał również o drugiéj połowie swego celu, to jest o wychowaniu dzieci, dla których odszukiwał, wynajdywał i zastosowywał wszelkie ulepszenia, ułatwienia i ponęty w metodzie nauczania. Dołączał do pism swoich wzory rozmaitych sposobów wrażenia w pamięć dzieci, suchéj litery elementarnéj nauki, dbał o nie wszystkie, jak o swoje dziatki, o mękach których wiedział z doświadczenia. Pisał również wiele o wychowaniu młodych chłopców i panien doroślejszych, a jak z pierwszych pragnął mieć oświeconych, pracowitych i moralnych ludzi, tak z drugich, dobre matki i gospodynie. Ideałem jego kobiety była dobra matka, trzeźwa gospodyni, i aby ten ideał uwydatnić, pisał pełne życia i prawdy artykuły o przysposobieniu dla społeczności takich kobiet. Sam też był żonatym i miał córeczkę Zosię, którą szczególniéj ukochał; utracił ją jednak, zanim pojmować zaczęła, jakiego miała ojca. Opiekun dziatek, przyjaciel nauczycieli i ich najszczerszy doradca, kierownik śmiały i szlachetny i pracowity przewodnik młodzieży, szedł tak ciągle za swoją gwiazdą powołania i nigdy rąk nie opuścił, bo chociaż nie opłacało się wydawane przezeń pismo, choć nie wszędzie zaszczepić zdołał swoje rady i wskazówki, wiedział i przeczuwał, że myśl jego i starania tryumf odnieść muszą, jak zawsze światło musi zapanować nad ciemnotą. Szedł ciągle daléj; chcąc zbadać co najlepszego ma Europa pod względem wychowania, w r. 1853 udał się do Paryża, i tam radził z najoświeceńszemi pedagogami, zwiedzając zakłady naukowe, o środkach podniesienia oświaty. Zaiste godna to najwyższego szacunku postać takiéj wytrwałości. Życie to przedstawia się dziś jasno, jak jedno wielkie tchnienie miłości.

Ale pierś wysilona tém potężnem natchnieniem, acz cichem i nierozgłośnem, pierś ludzka i słaba, musiała się rozstroić i rozpaść. Lecząc się i nauczając naprzemian, oddał wreszcie ducha ten nauczyciel prostaczków i dziatek. Umarł dnia 15 sierpnia 1856 roku, na wodach w Soden, z choroby piersiowéj.

Józef z Mazowsza.

JUHAS.

WĘGIERSKI PASTERZ OWIEC.

Daleko, daleko za siedmią rzekami,
Leży kraj Madziarów, zowią go: Węgrami,
A cudnaż to cudna ta Węgier kraina!
Z południa ją Dunaj swą wstęgą przerzyna;
Na północ Karpaty olbrzymie ramiona,
Z zachodu aż na wschód, roztoczą strażnicze,
Gór Białych—Beskidów przybiorą imiona,
I Tatrów, co w chmurach skrywając oblicze,
Piętrzą się do koła okryte lasami.
Wierzchołki ich bieli śnieg niby siwizna,
Tam skały się piętrzą, jak zamki basztami,
W dolinach to hale, juhasów ojczyzna,
Po halach Karpackich, owiec liczne stada,
Pod pieczą pasterzy pasą się swobodne,
A juhas to mędrzec, po gwiazdach odgada,
Czy lato i jesień, mieć będziesz pogodne,
Wciąż z Niebem samotny nauczy się czytać
I myślić jak z księgi, po niebieskich znakach,
Po chmurach i wietrze i ptaszęcych szlakach,
Potrafił naukę dla siebie pochwytać.
Odziany w płaszcz siwy, w kwiaty wyszywany,
Kapelusz ozdobny barwistemi wstęgi;
Puszczając dym z fajki w niebieskawe kłęby,
Stoi tam dnie całe juhas zadumany.
Wzrok utkwił w Krzyż Święty, a po jego twarzy,
W palącéj źrenicy miga błysk rozumu,
I takiem się piętnem wybija i żarzy.
Rozpoznasz juhasa po dumie, wśród tłumu;
Zwykł nosić wysoko czoło podniesione,
I z wyżyn poglądać na światy i ludzi,
Jakby uczuł, że nosi godności koronę;
A z ciężkiéj zadumy nie łatwo się budzi.
W tym ciągłym z przyrodą niemym rozhoworze,
Choć sam małomówny, przecież słuchać lubi,
Gdy drudzy mu prawią w zimowym wieczorze,
Za pieśnią, powieścią jak dziecię się gubi,

Liljana.

TAJEMNICZY DOM.

(Dokończenie.—Patrz Nr. 37 do 41).

Nazajutrz rano, jakaś młoda kobieta przybyła do miasteczka i wszedłszy do niego, zdawała się szukać jakiegoś domu, którego dokładny opis posiadała. Zaraz znaleźli się ciekawi i usłużni, co pytali jéj się kogoby szukała, a oni dopomogą jéj do wynalezienia pożądanéj osoby. Nowo-przybyła jednak podziękowawszy wszystkim za grzeczność, nieżądając rozmowy, ani też powiadając, kogo szukać przyszła, poszła sobie daléj i nareszcie stanąwszy przed tajemniczym domem, po obejrzeniu go starannem, zawołała:

— To tu niezawodnie!

Po zapukaniu do drzwi, wyszła Gertruda i zapyła się jéj, czego sobie życzy.

— Czy to tutaj mieszka ten, którego nazywają panem Piotrem?

— Tak, to tutaj.

— Wszakże już musiał on do domu powrócić.

— O! jeszcze wczoraj przed wieczorem powrócił do domu. Ale co to panna masz za interes do niego?

— Chciałam, aby mi zwrócił pukiel włosów tego człowieka, który wczoraj od jego ręki zginął.

Wymawiając te słowa, młoda dziewczyna poczęła płakać gorzko, a w końcu padła i zemdlała.

W czasie téj sceny, mieszkańcy poczęli się gromadzić przed domem około młodéj dziewczyny, tak rzewnie płaczącéj. Widząc ją padającą, wysłuchawszy poprzednio, że pan Piotr zabił człowieka w dniu wczorajszym, jedni poczęli cucić zemdloną, a drudzy wzburzeni do najwyższego stopnia, odtrącili starą Gertrudę ode drzwi, i wpadłszy do domu schwytali pana Piotra, którego chcieli jako mordercę władzy odstawić.

Młoda kobieta poczęła zwolna przychodzić do siebie, a pierwsze słowa jéj były: mój ojciec! mój ojciec!

boszcz i zawołał: O ludzie! macie wy sumienie bić niewinnego starca?

Słowa te rozbroiły jakoś wszystkich z zajadłości, wiedzieli bowiem, że skoro ich ksiądz proboszcz powiada, że ten człowiek jest niewinny, to pomimo wszelkich pozorów, jest on niewinnym.

— Niech Bóg zachowa, ktoby się poważył choć palcem dotknąć pana Piotra. Prawda, pod jego mieczem spadła wczoraj głowa ojca téj tu kobiety, ale pomimo tego on jest niewinny. On tylko spełniał swoje obowiązki, gdyż on jest *katem*.

Zaledwie ksiądz te słowa wymówił, kiedy jedni



Wzrok utkwił w Krzyż Święty,—(str. 335, szp. 2).—(Wycięto w drzeworytni Halbergera w Sztutgardzie).

— Gdzież jest twój ojciec? zapytano się jéj.

— Nie żyje, powiedziała płacząc.

— Któż go zabił? zapytano się jéj znowu.

Dziewczyna obróciła głowę do pana Piotra, którego trzymali mieszkańcy miasteczka, i powiedziała: To on!

Natychmiast wszystkie dawniejsze podejrzenia ożyły i przez to wyznanie, jeszcze więcéj potwierdzonemi zostały. Oburzenie wzrosło w zgromadzonych, potrącono i powalono na ziemię pana Piotra i poczęto go bić zaraz.

Byłoby źle z nim bardzo, gdyby nie szybka i niespodziewana pomoc. Nagle bowiem nadbiegł pro-

z napastników, żałując swego uniesienia, i wstydząc się, że mogli poważyć się bić starca tylko z domysłu, że jest winowajcą, a drudzy zaś z przerażenia, że to z mistrzem sprawiedliwości mają do czynienia, wszyscy natychmiast odbiegli, pozostawiając tylko pana Piotra, proboszcza, Gertrudę i młodą kobietę, która nie przestawała płakać.

— Panie, powiedziała teraz ta nowo-przybyła, to ja jestem powodem tego co się tu stało. Wybacz mi panie, że w ciężkim smutku, w jakim ja się znajduję, zdradziłam twój sekret, lubom niepowinna była zapomnieć, że czynów waszych nie należy się przed nikim bez potrzeby wyjawiać. Przybyłam tu

z prośbą do ciebie panie, abyś oddał to co pozostało po nieszczęśliwym, surową ręką sprawiedliwości dotkniętym, a co jest największą pamiątką dla jego córki.

— Moja panno, powiedział Piotr, to co się stało dzisiaj, prędzéj czy późniéj staćby się kiedyś musiało. Tajemnica moja byłaby się i tak wydała, nie było nawet sposobu ukrycia jéj na zawsze. Co się zaś tyczy włosów, to w żaden sposób nie mogę ci ich oddać, zachowanie ich bowiem jest koniecznem, gdyż wpływa w sposób uspakajający na mnie.

— Cóż to za wpływ mogą te włosy wywierać na pana, kiedy przeciwnie dla mnie, jako dla córki stanowią one ważną pamiątkę, jedyną po moim ojcu.

— Aby ci moja panno pokazać całą niemożliwość, w jakiéj jestem względem oddania tych włosów, powiem, że istnieje pewne podanie w naszéj nieszczęśliwéj familji, które wraz z zajęciem tak nieludzkiem, przechodzi ciągle z ojca na syna.



To on!—(str. 336, szp. 1).
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Sosiński).

— Cóż to jest za podanie? zapytał się proboszcz.

— Będzie to kilkaset lat temu, odpowiedział pan Piotr, ludzie byli bardzo jeszcze wtedy zabobonni i nieoświeceni.

— Trudno wypowiedzieć, co to za przesądy istniały wówczas i za co to odbierano wtedy życie ludziom. Egzekucje bywały więc częste, bo dość było posądzenia, że ktoś z djabłem miewa sprawy, aby już biedny jaki człowiek na stos lub pod topór skazanym został.

— Razu pewnego, jeden z moich przodków musiał ściąć piękną młodą kobietę, która miała wiele kosztownych pierścieni na palcach. Wiadomo, że wszelkie rzeczy, jakie ma delikwent na sobie, z samego już prawa należą się do kata. Otóż mój przodek, nie mogąc tych pierścieni pozdejmować z palców téj kobiety ściętéj, poobcinał je i późniéj posprzedawał. Od téj chwili, nie doznał nigdy spokojności. Ciągle zdawało mu się, że ta umarła prześladuje go, że go ściga i dopomina się o swe członki, które on jéj w tak haniebny sposób poobcinał. Próżnemi były wszystkie sposoby jakich używał, aby oddalić od siebie te mary zawsze prześladujące go; dopiero mu jeden stary ksiądz, od którego zażądał rady na spowiedzi, zdołał przywrócić dawniejszą spokojność, a to każąc mu otrzymane pieniądze, za kosztowności zdjęte z téj kobiety, rozdać na ubogich i pukiel włosów z każdego zabitego schować na takim niby przenośnym cmentarzu, aby ten ciągle przypominał nam potrzebę modłów za zmarłych! Obowiązek ten ostatni, dla spokojności duszy naszego przodka, mieli i jego następcy dopełniać, co my też nieprzerwanie przez kilka pokoleń już dopełniamy, tak jak to ksiądz proboszcz widzi teraz u mnie.

— Obecnie, dodał pan Piotr, o nic tak Boga nie proszę, jak żeby nastały czasy oświeceńsze, a prawa wyrozumialsze, żebym mógł porzucić to zatrudnienie, którego mi dziś rzucać niewolno, i które syn po ojcu spadkowo, czy chce czy nie chce, prowadzić musi.

W téj chwili przechodził Lyonel z bukietem kwiatów w ręku. Biedny przyjacielu, mówił pan Piotr, jakże cię żałuję, że umysł twój jest zmęczony, ale może i dla ciebie jeszcze przyjaźniejsza chwila nastanie. Potem obracając się do młodéj dziewczyny, dodał: Przychodź do nas często, moja panno, tu u nas zawsze znajdziesz otwarte serce, tu nikt nie będzie ci wymawiał, żeś jest córką skazanego; przyjdzie i dla ciebie czas, że życie będziesz mogła wieść łagodniejsze.



Tomasz położył hubkę na ręce,—(str. 338, szp. 2).
(Rysował Tegazzo — wyciął na drzewie Sosiński).

I słowa pana Piotra się spełniły. Dwa lata jeszcze potem nieupłynęło, kiedy wiele zmian szczęśliwych w świecie dokonano. Naprzód zniesiono prawo, żeby jakiekolwiek obowiązki musiały być dziedzicznemi, i pan Piotr korzystając z tego, natychmiast się postarał o uwolnienie dla siebie. Lyonel powoli odzyskał rozum, a widząc często tę młodą dziewczynę, przywiązał się do niéj i ona poszła za niego. Tajemniczy dom jest dziś otwarty dla wszystkich, odnowiony, obsadzony kwiatami i drzewami; dziś pan Piotr bowiem nie tylko nie unika ludzi, ale ich owszem stara się przyciągnąć do siebie. Stara Gertruda tylko pozostała niezmienną, pomimo swéj późnéj starości.

ŻYCIE W PUSZCZY.

PAMIĘTNIK SPRAWIEDLIWEGO CZŁOWIEKA.

(*Ciąg dalszy.*—Patrz Nr. 35 do 41).

— Ale ja jeszcze jednego nie rozumiem, odezwałem się.

— No, cóż takiego?

— Oto, wiem już, że bez słońca nie byłoby życia żadnego na ziemi, lecz myślę sobie przecież, dla czego to tylko światło słońca tak cudownie na rośliny działa, że one czyste powietrze ze siebie wydychają. A toż przecie takie światło księżyca, jako oto w téj chwili, powinnoby także tak samo działać, bo jest niemal tak jasne jak słoneczne.

— Ho, ho, daleko mu do téj jasności! — zawołał Tomasz. Światło księżyca, choćby najmocniejsze, jest tylko do połowy tak mocne jak dzienne światło słońca, gdyż nie jest ono światłem księżyca właściwem, lecz tylko odbitem. Gdyby słońca nie było, toby i księżyc nie świecił, bo słońce pożycza swego światła księżycowi, dla tego jest to światło odbitem, jak naprzykład jasność pożaru łuną na Niebie się odbija.

Nie rozumiałem ja, jak to słońce światła swojego księżycowi pożycza, chciałem się więc wypytać o to starego Tomasza, lecz właśnie co stanęliśmy na sianożęci, a Tomasz się odezwie:

— No, dość téj gawędy, a teraz do roboty! Czy kosiłeś już kiedy?

— Nigdy jeszcze, odrzekłem.

— Więc się musisz nauczyć,—rzekł Tomasz, i powiesiwszy fuzję na gałęzi, kazał mi zdjąć kobiałkę ze siebie i rozpalić ogień, ażeby było weseléj.

Chcąc wykonać polecenie Tomasza, odszedłem nieco w las i nazbierałem całe naręcze suchych gałęzi, a naobrywałem też i świeżéj sośniny, żeby od niéj jako od smolnéj prędzéj się zajęło. Była tego cała stérta; ukląkłem koło niéj, a wydobywszy krzesiwko i hubkę chciałem już ognia wykrzesać, gdy nagle pośród głuchéj ciszy ozwał się niby śmiech głośny a niby rżenie, zupełnie takie same jak w owéj nocy, gdym zbłąkany na dębie nocował. Przestraszyłem się więc bardzo, krzesiwo wypadło mi z ręki; mimowoli podniosłem rękę do czoła i przeżegnałem się.

— Cóż tobie takiego Antku?—zapytał się Tomasz, ładujący też obok mnie kosy.

— A czyście nie słyszeli, jak się gdzieś djabeł w starem drzewie rechocze, odrzekłem cały drżący.

— Gdzie, jaki djabeł?—zapyta Tomasz zdziwiony.

Lecz w téj chwili jak na szczęście odezwał się ten sam śmiech, tylko jeszcze bliższy i głośniejszy.

— A co, a co! poderwę ja czemprędzéj, to albo djabeł albo rusałki kogoś łaskoczą.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Tomasz spokojnie. Jak widzę zabobonny jesteś mój chłopcze. To ani djabeł ani rusałki, jeno *kulig*, ptak wodny, gdyż ot zaraz jest moczar, gdzie sobie kuligi całą noc gwizdają.

Gdyby to nie był Tomasz mówił, byłbym może nie uwierzył, tak mi się do prawdy niepodobnem wydawało, aby ptaszyna prosta, taki mocny i śmiejący głos miała. Lecz trudno było nie wierzyć, kiedy Tomasz mówił; takiś tam w nim widział i rozum i bystrość i poczciwość.

— Strzeż się zabobonów mój Antku, bo to najstraszniejsze, rzekł mi jeszcze Tomasz; pamiętaj sobie, że człowiek tylko Boga i własnego sumienia bać się powinien, nie zaś jakichś marnych zmysłów. Ani djabłów, ani rusałek nie ma na téj ziemi; sumienie złemu człowiekowi przywodzi na oczy jego własne grzechy, a on myśli, że to djabły i inne straszne potwory. Uczciwy człowiek nigdy tego nie widzi, a jeżeli mu się nieszczęście jakie przytrafi, to nie zwala tego na złe duchy, tylko na własną nieroztropność, jeżeli sobie z nieuwagą postąpił.

— Ale dajmy już spokój gadaniu, — dodał Tomasz żywo, rozdmuchuj ogień i bierz kosę do ręki, bo czas ucieka.

Wziąłem ja więc napowrót krzesiwko do ręki, skrzesałem ognia, rozdmuchałem, i wnet ze stosu gałęzi buchał wysoki płomień, że aż weseléj zrobiło się człowiekowi.

Zaczęła się nauka koszenia. Tomasz nakazywał mi kosę w ręku mocno trzymać, żeby mi do nogi nie skoczyła, i potem nią lekko machać, a zawsze w jednéj mierze ku sobie. Nauka szła dość upornie, i strasznie nierówno zrazu się kosiło; lecz cóżby zaś człowiek nie zrobił, jeżeli ma dobrą wolę po temu. Tak i mnie coraz lepiéj i coraz lepiéj szło koszenie, a takem się zaciekł w téj robocie, żem ani pamiętał, kiedy się ranek zrobił, i dopiero gdy mi koszula do ciała lepnąć zaczęła, a pot na czoło wystąpił, uczułem, że się południe zbliża. Zatrzymałem się więc chwilę i ostrząc kosę osełką, ujrzałem, żeśmy już większą połowę łączki skosili.

Gdy nam już słonko prosto nad głową stanęło, uczułem pewne znużenie w plecach i rękach, a prawie też odstawił kosę stary Tomasz, i rzekł mi, że sobie odpocząć należy. Usiedliśmy więc pod brogiem zgłodniali i zmęczeni; chleb i sér z kobiałki tylko się migał, choć go sporo było; poczem rozciągnąwszy się na ziemi zasnąłem jak zabity. Tomasz tymczasem wypalił sobie fajeczkę i także się zdrzymnął.

Po jakich dwóch godzinach odpoczynku, wzięliśmy się na powrót do pracy, a nie było jéj już wiele, tak, że dobrze jeszcze przed wieczorem zwinęliśmy się het z całą łączką. I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie świeża niespodzianka. Oto zbierając się do domu, poszedłem ja wziąść sobie płótniankę, leżącą pomiędzy młodą brzezinką, którą właśnie słonko mocno oświecało. Lecz ledwiem schylił po nią rękę, ukłuło mię coś powyż dłoni, jak gdyby tęgą szpilką. Odskoczyłem, patrzę, a tu żmija łebek do góry i szach, szach między trawę. Porwałem więc czemprędzéj za kosę i daléjże ją po łebku, tak, że odpadł z kretesem.

Widząc to stary Tomasz, spojrzał na żmiję, i kazał sobie czemprzędzéj rękę pokazać. Poniżéj dłoni był znaczek, ale tak nie wielki, że nawet jeszcze krew nie wystąpiła; ale Tomasz podniósł moją rękę, przytknął usta do ranki i wysysał jak mógł najmocniéj, a potem skrzesał ognia i zapalił hubki kawałek.

— To trzeba wypalić, rzekł wreszcie.

Ja szarpnąłem ręką i wzbraniałem się, bo to nie bagatela palić żywe ciało. Lecz Tomasz rzekł mi żywo.

— Musisz sobie dać wypalić, bo żmija jadowita i mógłyś mocno zaniemódz.

Przeląkłem się tego i podałem rękę, bo cóż było robić? Tomasz położył hubkę na ręce; krzyknąłem zrazu, a potem zacisnąłem zęby i aż podskoczyłem do góry, lecz wytrzymałem. Na miejscu ranki wypaliła sią mała dziurka okropnie boląca; Tomasz wyszukał między trawą jakiś listeczek mięsisty,

przyłożył go na ranę, a potem szmatką owinął, ściągając jak mógł najmocniéj. Zimny listek ulżył mi na chwilę; wróciliśmy się więc do żmii, któréj łebek osobno się rzucał, a ogon osobno.

Żmija ta, miarkując po głowie i reszcie ciała, była może na łokieć długa a na cal gruba i szara; wzdłuż całego grzbietu miała zygzak z wielkich, szarych, czworograniastych i okrągłych plam, zaś na łebku znak, niby trochę do krzyża podobny.

— A że też ta gadzina choć przecięta, tak się jeszcze rusza! zawołałem, dmuchając mimowoli na rękę, gdyż mi bardzo piekło.

— Poczekaj, zaraz ja jéj tu doprawię, rzekł Tomasz, a schyliwszy się nad łebkiem odkręcił cybuch od fajki i zalał go sokiem tytuniowym. Rzeczywiście, po małéj chwileczce przestał się łebek ruszać. Wtedy Tomasz podniósłszy go z ziemi, rzekł mi trzymając go w ręce:

— Przypatrz się temu łebkowi! Ta i jeszcze druga jadowita żmija, które się u nas czasem trafiają, jest na łebku tak jak i na całem ciele małemi łuszczkami pokryta; inne zaś nie szkodliwe węże mają na łebku dziewięć tafelek, większych od łuski, i po tem najlepiéj można je od jadowitych rozróżnić. Lecz cóżeś ty tak podbladł? zapytał nagle Tomasz, patrząc mi w oczy.

Ja czułem już od chwili jakieś zamroczenie w głowie, więc rzeknę:

— Ot, nie wiem czemu, głowa mi się kręci.

— Więc chodźmy do domu, to przejdzie, rzekł Tomasz, rzucając łebek w trawę, niby spokojnie, lecz widziałem po jego twarzy, że był czegoś jakby zatrwożony. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

O KONIU POD WZGLĘDEM HISTORJI NATURALNÉJ.

(Dalszy ciąg.—Obacz Nr. 41).

Nigdy koń dziki nie dosięga téj dzielności i piękności, jaka jest udziałem koni hodowanych. Wpływ ręki człowieczéj na to szlachetne zwierzę jest niezmiernie potężny, i jemu to jak i warunkom klimatycznym, zawdzięczać należy owe uwiecznienie różnic, stanowiących rasy. Rasowość konia zależy na jego wybornym kształcie i szlachetnych przymiotach. Piękność konia może być dwojaka: *wyobraźna*, zależąca na dokładnem stosowaniu do panujących pojęć, o piękności konia i *rzeczywista*, zależąca na zupełnéj miarowości kształtów tego szlachetnego stworzenia. Z saméj natury pierwsza zmienia się, odpowiednio do wyobrażeń wieku. Spiridjon Ostaszewski twierdzi, iż w naszym już wieku w Polsce zmieniał się gust do koni po trzykroć. (W N-rze 41 razem z koniem arabskim u góry na rycinie jest wyobrażony koń Polski,—*Przyp. Red.*). Ubarwienie, wzrost, nareszcie natura konia, wypływająca przeważnie z rasowości, składają się na piękność wyobraźną. Ta ostatnia przyczyna pozostaje także zasadą piękności rzeczywistéj, lubo wysokość krwi nie zawsze strzeże od wad. Tak w stadzie księcia Sanguszki z Chrystówki, skutkiem użycia niedość bacznego reproduktora, mimo wysokiéj krwi, wyrodziła się kolankowatość nóg, a która to wada przeszła już do innych koni Ukraińskich. Rasowość więc konia, tylko obok staranności w prowadzeniu daje się utrzymać. O rzeczywistéj piękności miano już niejakie pojęcia i dawniéj. Dorohostajski cały rozdział temu przedmiotowi poświęcił. W ogóle jednak, pojęcia o miarowości członków pojedyńczych, przepełnione były błędami i dopiero w XVIII wieku naukę tę posunięto. Wynaleziono nawet specjalne narzędzie, zwane hippometrem do zbadania i oszacowania członków konia. Zasadą w tym przyrządzie była miara głowy. Rzeczywiście też głowa i nogi są członkami, które u znawców największe mają znaczenie. Głowa konia, oprócz swych kształtów, świadczących o większéj lub mniejszéj jego zmyślności, ważną jest jeszcze jako metryka wieku. Ukształtowanie zębów i następstwo ich wypadania nosi nawet techniczną nazwę *rejestra*. Długość życia u konia rozmaicie jest oceniana. Kluk twierdzi, iż średnio żyje lat 48, lecz dawniéj skutkiem umiejętności w hodowli dochodził 70 lat. Obecnie 18 lat pracy i wysług jest zwykłym kresem, po za który dzielne to stworzenie nie przechodzi.

Ponieważ koń przedewszystkiem stworzony jest do biegu, ukształcenie więc jego nóg stanowi przedmiot niezmiernie ważny, na który też zwracają pilną uwagę wytrawni koniarze. W nodze konia odróżniają kilka składowych części, których odpowiednie ukształcenie świadczy o dzielności tego organu; kolano powinno być płaskie, goleń prosta, wielkie ścięgno elastyczne, kopyto z koroną i podeszwa ze strzałką, ściśle musi odpowiadać warunkom wzrostu konia, na co zresztą bliższe szczegóły w specjalnych hipikach się znajdują.

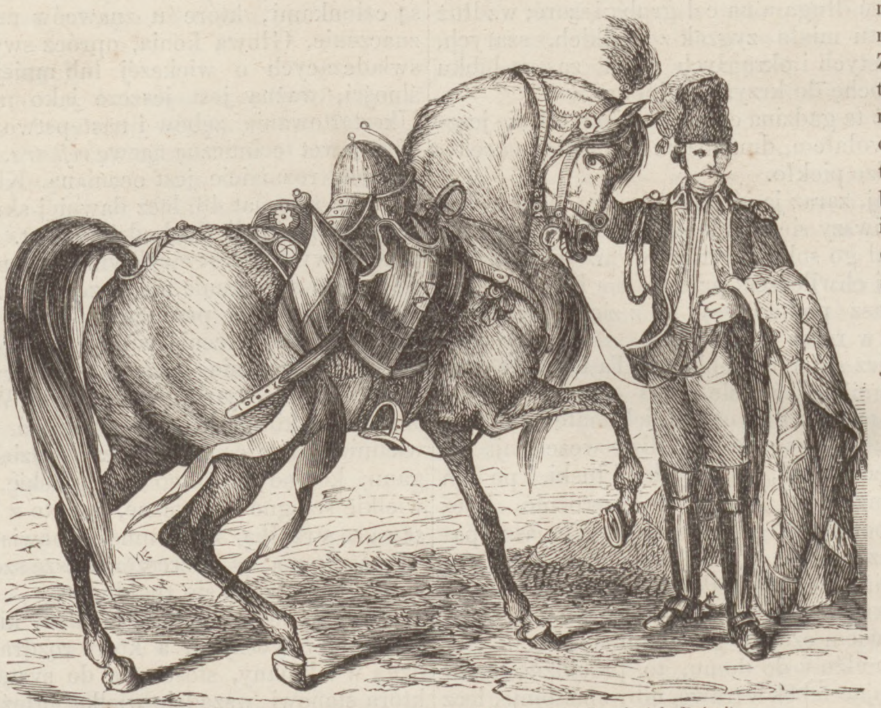
Gatunek konia domowego liczy kilka ras bardzo charakterystycznych, a które rozdrabniają się bardziéj w odmiany, stosownie do systematu hodowli, która stanowi wszędzie wielką gałęź gospodarstwa krajowego. Najpiękniejszą i macierzystą dla wielu jest rassa arabska. Doszła ona wysokiego wykształcenia tylko przez troskliwą opiekę Arabów, dla których koń jest przyjacielem. Genealogja wielu tych pięknych zwierząt, idzie przez 200 lat, a niektórych odznaczających się czystością krwi rodowód od 400 lat można piśmiennemi dokumentami stwierdzić. Niezmiernie ciekawe są szczegóły, jakie przywodzą podróżo-pisarze o koniach Arabskich. Pieśni tego koczującego ludu brzmią sławą konia, a najdokładnieszą w tym względzie wiadomość, podał Ab-del-Kader, prorok i naczelnik arabskich pokoleń w Algerji. Konie arabskie są miernego wzrostu, wysmukłe, zwrotne i niezmiernie wytrzymałe w biegu. Barwa siwa lub gniada. Ale nad wszelki wyraz, uderza rozwinięta, że tak powiemy intelligencja koni arabskich, ich czułość i przywiązanie do panów, odwaga i roztropność. Odnogą koni arabskich były szlachetne rumaki *berberyjskie*, tyle cenione w wiekach średnich od rycerstwa ówczesnego.

(Dokończenie nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

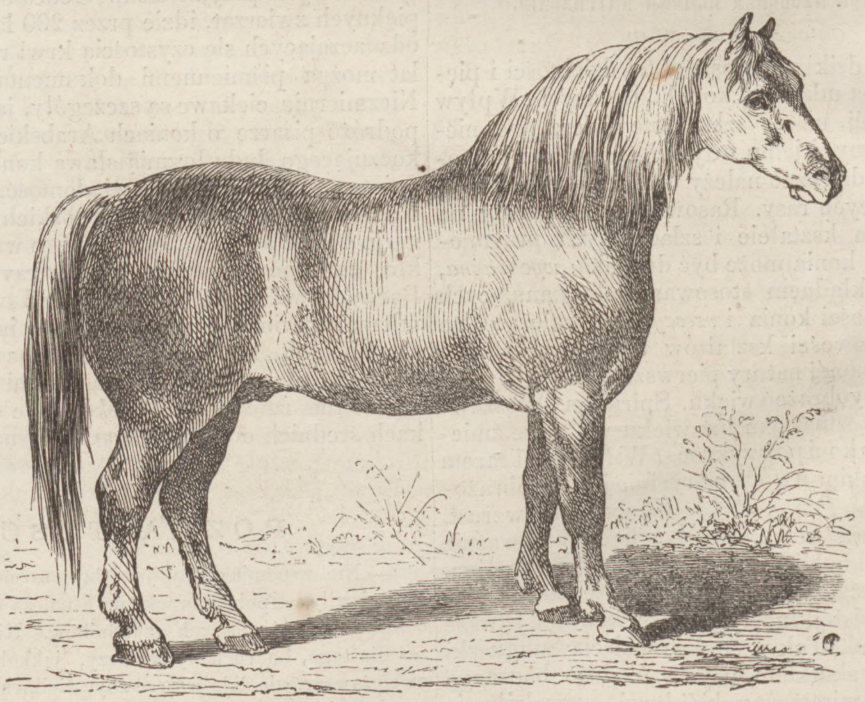
— Nie wspominaliśmy już dawno o nowościach, które się pojawiły na polu literackiem, a należą do sfery zajmującéj główną część naszych czytelników. Nie wspominaliśmy zaś dla tego, bo ruch wydawniczy, jakkolwiek tu i owdzie nieco żywszy, nie daje jeszcze zbyt wielkich plonów dla sprawozdawców i czytelników. Wszelako możemy zanotować, iż ze Lwowa nadesłano nam trzy pierwsze odczyty profesora Płachetki, miane dla rzemieślników w tem stołecznem mieście Galicji. O odczytach tych, staraniem Towarzystwa rzemieślniczego Lwowskiego urządzonych, wspominaliśmy już; były one w ogóle i pożyteczne i licznie uczęszczane. Bardzo więc dobrze zrobił nakładca Karol Wild, drukując te lekcje; bo tym co je słyszeli, druk odświeży słowo w pamięci, a ci

którzy nie mieli sposobności korzystania z wykładu, mogą takowy nie bez pożytku odczytać. W takim właśnie wypadku są i nasi Warszawscy rzemieślnicy, tak dla siebie mało mający rzeczywiście pomocniczych i przystępnych książek. Te, o których mówimy, zawierają rzecz o świetle o związkach chemicznych, o żelazie. Każda książeczka kosztuje 20 groszy, a nabyć ją można w księgarni Gebetnera i Wolffa. Drugą nowością jest broszura p. t. „*Trzy nauki gospodarskie*.” Napisał ją najznakomitszy dziś autor agronomiczny Łyskowski, przeznaczając głównie dla umiejących czytać włościan Poznańskiego. Ci zaś z naszych włościan, którzy umieją czytać, niechże sobie to pożyteczne dziełko nabędą, a znajdą w nim nie mało zbawiennych rad i naukę, jak swoje małe gospodarstwo poprawić, aby dobry dochód dało. Trzecią nareszcie nowiną jest „*Historja powszechna*.” z francuzkiego, przez Leona Rogalskiego przełożona. Napisał ją p. Victor Duruy, minister we Francji oświecenia publicznego, ten sam który, życząc owemu krajowi prawdziwego szczęścia, zaproponował naukę elementarną dla wszystkich bezpłatną i przymusową jak to ma miejsce w Prusach i prawie całych Niemczech. Nie utrzymał się jednak p. Duruy ze swoim projektem, bo we Francji dużo jeszcze jest głupich i nieprzyjaciół oświaty. Wracając do historji powszechnéj, książka to wcale dobra, a przytem napisana bardzo łatwym i żywym językiem. Ci więc z naszych czytelników, co pragną nabyć nauki więcéj na serjo, mogą się pod względem historji bardzo dobrze tą książką oświecić.



Koń Turecki.—(Rysował Kossak -wycięto w drzeworytni Przyjaciela Dzieci).

— Widzieliśmy sprowadzony do Warszawy nowy metal, nazwany magnezjum. Jest on pierwiastkiem głównym tego ciała, które znamy wszyscy pod nazwą magnezji. Za pośrednictwem chemicznych sposobów oddzielony metal jest koloru białego, ciągły i podobny nieco do cyny angielskiéj. Daje się wyciągnąć w drut, którego jeden metr kosztuje w Paryżu 5 franków. Drut ten u płomienia świecy zapala się i płonie tak jasnem światłem, jak elektryczne, ale więcéj łagodnym. Przy tem świetle w podziemiach można najdelikatniejsze robić roboty, a nawet zdejmować fotografie. Pan Beyer fotograf Warszawski, robił już z tym metelam próby, a pp. Sadowski i Trzebiecki, także nasi fotografowie, zamierzają zdejmować za pośrednictwem tego światła wnętrza ciemnych kościołów i sal.



Koń Sulfokski.—(Wycięto w drzeworytni Lorcka w Berlinie).

— Warszawa słynęła niegdyś z wyrobu rękawiczek, a produkt z pracowni Letronna i Niwetta, odchodził nie tylko do Wiednia, Kijowa, ale i do Petersburga, oraz Moskwy. Dziś jednak skutkiem braku chęci do pracy, nietylko, że nie wysyłamy rękawiczek już, ale znaczną ich ilość sprowadzamy z zagranicy, mianowicie nędzny wyrób niemiecki. Mimo to, taki brak robotnic po fabrykach, iż żadnych już prawie obstalunków nie przyjmują, lub też chyba na bardzo odległe termina.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—*Redaktor*, Adam Mieczyński.